

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Przyjęcie pana Prevost-Paradol do akademii francuskiej. — Rozmowa młodego akademika z cesarzem. — Posiedzenie doroczne akademii nauk. — „Listy Diany de Poitiers” wydane przez Jerzego Guffrey. — „Zaraza” (La Contagion) pięcio-aktowa komedia Emila Augier. — Wiktora Hugo „Les Travailleurs de la mer.” — Wiadomości literackie.

Wypadkiem literackim miesiąca marca jest przyjęcie do akademii francuskiej p. Prevost-Paradol. Guizot miał pełnić obowiązki gospodarza domu w pałacu Mazarina, więc podwójnie wielka uroczystość. Natłok ciekawych był nadzwyczajny. Od 9-jej rano cztery *ogony*, a mówiąc po polsku, cztery szeregi ludzi stały na wybrzeżu przed instytutem, o 12-jej dopiero wpuszczano. Zaczęło się wtedy popychanie straszliwe, kilka kobiet zemdlało w tłoku; połowa opatrzonych biletami ustąpiła miejsca opatrzonym kulkami...

Na podwórzu był tłok także: do godziny 2-jej z powozów wysiadali goście, a mianowicie postrojone kobiety.

Członkowie pięciu akademii zebrali się w bibliotece, wielu nie mogło się już zmieścić: sto kilka miejsc im przeznaczono, a przybyło ich przeszło 160-ciu. Przy biurze siedzieli pp. Guizot, dyrektor akademii; archiwista Patin i sekretarz Villemain. Fotele zajęli pp. Berryer, Dufaure, Duc de Noailles, duk i książę Broglie, hr. Montalembert, hr. Pongerville, Sanite-Beuve, Nisard, Sacy, Thénard, Carraffa, Regnault, Labardo, Coste... Luna biła od tyłu luminarzy.

Parę minut przed 2-gą pan Mignet świątecznie ubrany, wprowadził do sali pana Prevost-Paradol, także w akademickim mundurze. Młody akademik doznał nader uprzejmego przyjęcia. Wszyscy dostojnicy ujrzawszy go, ku

drzwiom poskoczyli i na wyścigi wyciągali ręce do nowo przybyłego kolegi.

Układny Paradol zręcznie po dworsku się wywijał. Jestto człowiek 36-cio letni, brunet, przystojny, nie wysoki, szczupły, z żywemi oczyma i wyrazistą twarzą, słowem prawdziwy Paryżanin. Powierzchnowość jego przypomina kształt jego pisanja i polemizowania. Przez matkę Paradol należy do teatru; rolę też swoją umie grać dobrze. Choć Paryżanin, nie jest gadatliwy, co mu za nieposlednią zaletę poczytali Orleaniści. Wnet stał się Benjaminem naczelników swęj szkoły politycznej; Thiers mianowicie niezmiernie go lubi. Kiedy się podał za kandydata na ostatnie wybory, wymagał od opozycyi, żeby z nim razem podała Paradola. Na to mu odpowiedziano że on sam z trudnością przejdzie w Paryżu, i nie omylono się. Thiers z nauki nie skorzystał, ale Paradol młodszy niezawodnie tam pójdzie, gdzie wiatr opinii publicznej wieje. Dotąd jednak nie poczuł prądu.

Prevost-Paradol nie jest ogółowi tutejszemu sympatyczny. Grzeczny szyderca, ręką ujętą w białą rękawiczkę wybornie ciska sztylet sarkazmu. Pisze, jak Juliusz Favre mówi, nie wpadając atoli nigdy w finalny zapał do stojnego wodza lewicy. W akademii ludzie zbyt panują nad sobą, żeby dozwolić wybuchnąć namietności. Młody nieśmiertelnik zawczasu nabył sztuki stania zbrojno w granicach przyzwoitości; zawczasu na wzór Apollina, nauczył się wypuszczać klasyczną ręką strzały zabójcze, ale srebrne. Temperament musi wiele się przyczyniać do téj przedwczesnej dojrzałości, która jednak nie przeszkodziła Paradolowi spędzić całe cztery tygodnie w więzieniu i ściągnąć kilka ostrzeżeń na swego wojennego rumaka *Kuryera Niedzielnego*.

Obdarzony talentem grzecznego śpilkowania i szczypania poważnie wszystkich, którzy nie są Orleanistami, Paradol pozyskał wysokie łaski akademii i nie prosząc, otrzymał od niej palmę jako najmilsze dziecko, w wysokim stopniu posiadające jęj zdolność sztydzenia przyzwoicie. Z tego powodu akademja z góry wypłaciła Paradolowi procent od jego przyszłej wielkości literackiej. Ażeby jego posiadać, nieśmiertelni odłożyli obiory, żeby miał czas powrócić z Egiptu i odbyć wymagane wizyty urzędowe.

Wybór byłby dobry, gdyby pojęcia młodego członka były równie pewne jak jego pióro. Ale tak nie jest. Skoro dobrej sprawy broni, skoro za swobodą obsta-je, Paradol jest wymowny, świetny; ale skoro zacznie bronić ci-astnych zasad dawniej dynastji, dzielić urazy swoich mi-strzów malkontentów, staje się niskim szydercą... Wymu-szone jego żarty przypominają te, które Don Juan zwraca do posagu Komandora.

Pochodzenie teatralne politycznemu zawodowi nie wa-dzi, nawet pomaga: Corneille, Voltaire, Beaumarchais, Chénier, nawet Scribe, byli nieraz politykami na scenie. Paradol nie urodził się na Brutusa, ale jego dobrze wymie-rzone artykuły przypominają nieco Terencyusza.

Oto prawda naga. Pochwałę pana Paradol skreślił Guizot patetycznie. Przez dwie godziny chwalił przymioty młodzieńca i życzył mu w politycznym zawodzie szczęścia większego niż miewają *wybrani*. Przez 2 godziny ex-mini-ster prawił rzeczy dziwnie suche i zwietrzale. Już to przy-znać trzeba, że Guizot jak zacznie być nudnym, to jest nim kolosalnie.

A jednak zgromadzenie z czcią religijną słuchało jak sypał robione kwiaty na lodowisko... lubowano się dźwię-kiem jego głosu i tej wymowy dostrojonej jak Erardowska klawiatura. Harmonia słów była doskonała. To się więc-je- podoba Francuzom niż myśl szorstka wypowiedziana. Ad-mirowano wyniosłą siwą głowę Guizota, za największy za-szczyt miano Paradolowi że go przyjmuje „ów nieomylny papież parlamentarnego kościoła.”

Nie wiem czy jest papieżem, ale to pewna, że jest pia-stunem wielu młodych umysłów we Francji. Historya wiele Guizotowi zawdzięcza: tak historya Anglii będącej je-go umysłową ojczyzną, jak historya Francji, która zdaje się być tylko jego ojczyzną przybraną, miejscem pobytu, czy ziemią wygnania. Guizot tęskni za ojczyzną Pitta. Jednak nikt lepiej od niego nie zna dziejów Francji: badał je przez całe życie. Nie był słoncem historyi jak Bossuet, ani ludzkiego światła Woltera dalej nie roztoczył, ale się-gnął języka i tekstu narodowości. Wielcy i wiarogodni dziejopisowie narodu francuzkiego, są kronikarze wyświe-ce-

ni przez Guizota: Guizot kazał gadać pierwój historykom niż historyi.

Nie warto czytać przemów akademickich, trzeba je sły-
szć. Rzecz się ma jak z komedją. Akademik występuje
na swojej scenie jak komedyant na swojej; kto nie widzi je-
go twarzy, jego gestów, gry jego, nie może zrozumieć zna-
czenia jego mowy. Najlepsze komedye tylko na scenie do-
brze się wydają. Dlatego nie będziemy tu powtarzali ani
tego co mówił Guizot, ani tego co Paradol prawił. Dość
wiedzieć, że obaj chwalili siebie, poprzednika Ampèra i aka-
demią. Młody akademik jak pierwszy raz występujący
aktor, był nieco nieśmiały; Guizot grał swoją rolę jak Tal-
ma. Paradol śmielszy od Doucet'a, wypił mniej wody
z cukrem, nie dało się więc o nim powiedzieć co o tamtym,
że dolał wody do wina swój oracyi.

Jednak następca Alfreda de Vigny dał był lekcją do-
brego smaku, kasując wstępną gloryfikacyą akademii i *nie-
godność* nowo przybyłego: temat zużyty od czasów Mazari-
na. Czemu Paradol emancypowany i przedwcześnie dojrze-
ły nie pominął téj oklepanki? Nie wiadomo. Dość że za-
czął od apoteozy akademii i swojej *niegodności*.

Potém jak zwykle gadał o wszystkim, nawet o litera-
turze i poezyi. Dzieło Ampèra „*Historja Rzymska w Rzy-
mie*” dało obudwom mówcom sposobność wycieczki stano-
wiącej główny ustęp obu przemów. Guizot wsunął z tego
powodu reklamę dla władzy świeckiej papieża, która mó-
wiąc nawiasem pozostała bez echa; Paradol potępił teorye
które Napoleon III w przedmowie do *Historji Juliusza Cę-
zara* objawił: cesarz uświęcił, Paradol potępił zamach sta-
nu. Ton Paradola podniósł się o jedną oktawę skoro za-
czął gromić fatalizm historyczny, a po nad nim wyżej posta-
wił wszechwładztwo sumienia. Był prawdziwie wymo-
wny kiedy dowodził, że z mętnych źródeł nienależy wycią-
gać przepisu postępowania wyższego od poczucia obowiązku.

Nie wchodząc dla czego Paradol przekłada Pompeju-
sza nad Cezara, czy to czyni na złość, czy na dobre, wdzię-
cznym mu być trzeba że przy ateńskiej wymowie, Rzymia-
ninem pozostał.

Po tem co powiedział ciekawa była prezentacya w Tui-
leryach. Guizot i Villemain przedstawiali go cesarzowi.

Monarcha najpierw zbliżył się do Guizota i powiedział, że się cieszy z jego dobrego zdrowia, a mianowicie z tego, że wiek w niczém młodzieńczości jego umysłu nie nadweryżył.

Kiedy Guizot głębokim ukłonein na słowa powyższe odpowiedział, cesarz zwracając się do Paradola rzekł:

— Panie Paradol, żałuję bardzo że człowiek tak światły jak ty, nie należy do moich przyjaciół.

— Najjaśniejszy panie, ja też żałuję, odrzekł młody akademik.

— Nie jesteśmy dziś jednego zdania co do Cezara, mówił znów Napoleon III, ale to mnie pociesza, że w swoich *Essai sur l'histoire universelle* któreś wydał przed 6-ciu laty, mówiłeś o nim jak najlepiej. Wtedy widać opinie nasze nie były tak różne jak dzisiaj.

Paradol nic nie odpowiedział. Rzeczywiście nie było co odpowiedzieć, bo go złapano na drukowanej zmienności. Cesarz uważając że dał wet za wet, odwrócił się znów do Guizota i mówił z nim o literackiej wolności. W końcu wyrzekł do exministra te słowa: „Oui monsieur Guizot, en matière littéraire liberté d'appréciation absolue!”

Kontradykcyja oceny Cezara do której cesarz się odwołał, zdanie o nim wprost przeciwne jak to, które Paradol wyraził w swój mowie akademickiej, znajduje się w jego *Essai sur l'Histoire universelle* na stronniczy 366 — i 375.

Akademia nauk odbyła swoje doroczne posiedzenie publiczne. Chociaż przedmioty czysto naukowe o których mowa na zgromadzeniach uczonego ciała nie zdają się przypadać do niewieściego smaku, większość słuchaczy składała się z kobiet. Świeże ich stroje uderzającą sprzeczność tworzyły z łysinami i wywiedlém obliczem sawantów. Członkowie akademii nauk po większej części nicobecni w Paryżu z powodu zimy, nielicznie się zgromadzili. Za to członków innych akademii było mnóstwo.

O naznaczonej godzinie kiedy już wszyscy miejsca swoje zasiedli, pan Coste w zastępstwie chorego Flourensa, czytał pochwałę botanika Trochet. Ten już prawie zapomniany badacz przyrody, umarł w 1847 r. Za życia wydał kilka memoriałów, które jakoś przeszły niepostrzeżone. Są to subtelne poszukiwania dotyczące budowy roślin, krążenia soków karmiących, kielkowania i innych przedmiotów

fizyologii roślinnej i zwierzęcej, o które dotąd spór toczą uczeni.

Zadanie pana Coste było trudne, wywiązał się o ile można było najlepiej, ale mimo to publiczność ziewała. Jeden tylko ustęp poruszył zgromadzenie. „Winniśmy, rzekł p. Coste, cześć ministrowi, który pierwszy szczebel uniwersytetu u drzwi chaty wieśniaczej postawił.” Na te słowa mimo niejasności przenosin, runęły oklaski... Martwa twarz pana Guizot nieco się ożywiła... drgnął posąg, marmur zmienił obrysy... błyskawica mignęła na tém obliczu pozornie skamieniałem. Trwało to mgnienie oka: fizyonomia ministra wnet do swój lodowatej nieruchomości wróciła.

Po odczycie Costy, akademія przedłożyła swój bilans za rok 1865. Sekretarz wieczysty wygłaszał rozdane i nie rozdane nagrody.

Trzy wielkie *nagrody matematyki* zapisane na czele programu, nie zostały rozdane, również: *nagroda mechaniki*. Inne znaczniejsze rozdano częściami, jako zachęty. Liczba tych, którzy całe nagrody otrzymali, bardzo mała, na pół obco-krajowa.

Nagrodę astronomii fundacyi Lalandy, otrzymał pan Warren de la Rue, fabrykant papieru i astronom; Anglik za zastosowanie fotografii do reprodukcji ciał niebieskich. Fotografia księżyca, Jowisza, Saturna, zupełnego zaćmienia słońca 1860 r, które pan Rue złożył akademii rozmaitemi czasami, mają wartość. Odbicia te zdjęte w dwóch różnych chwilach i skombinowane w stereoskopie, pokazują księżyc i planety wypukłe jak kule.

Nagrodę statystyki przyznano panu Chenu, za jego *raport z wyniku służby medyko-chirurgicznej w czasie kampanii wschodniej*.

Rozległa ta praca tworząca tom o 700 stronnicach, pełna planów i tabelli, jest wykonana z sumienną dokładnością. Występują z niej fakta następujące: wojna jakkolwiek mordercza z powodu doskonałości broni tegocześniejszej, zabiera daleko mniej ludzi niż choroba i zmienność klimatu. Tak np. ilość żołnierzy francuzkich poległych pod Sewastopolem wynosiła 10,000 w ogólnej liczbie śmiertelności w czasie oblężenia, przechodzącej ogromną cyfrę

95,000. Jest więc gwałtownie potrzebna reorganizacya służby lekarskiej wojskowej, która widocznie nie funkcjonuje jak należy. Praca pana Chenu przyspieszy niezawodnie to pożądane ulepszenie

Nagroda Bordina za najlepsze dzieło o optyce, została podzieloną. Nadesłano sześć memoriałów. Akademia dała 1500 franków panu Jacssen za *rozbiór widma słonecznego*; 1000 franków dostał pan Soleil za specjalne dzieło napisane dla optyków trudniących się szlifowaniem soczewek i podwójnie odbijających kryształów; nakoniec 500 franków otrzymał autor memoriału o *odbijaniu światła*.

Nagroda nauk fizycznych do której akademii zadala jeszcze w 1859 roku *anatomia porównawczą systemu nerwowego ryb*, odłożona dwa razy, została nakoniec rozdana częściowo. Akademia oświadcza, że przedmiot niewyczerpany, ale że poszukiwania dwóch laureatów znacznie kwestyą rozjaśniły.

Wielką nagrodę nauk fizycznych otrzymał Alfons-Milne-Edwards, syn. Praca jego tworzy dwa grube tomy *in folio* textu, i sześć tomów atlasów, obejmujących 835 planszów i 2500 figur. Tytuł dzieła: „*Recherches d'anatomie comparée et de paléontologie pour servir à l'histoire de la faune ornithologique française aux époques tertiaires et quaternaires*.”

Obierając za przedmiot badań paleontologicznych dział ptaków, autor musiał napotkać wielkie trudności, gdyż skielety ptastwa najmniej dotąd studiowano. Milne-Edwards zgromadził kości około 800 żyjących gatunków i rozklasyfikował takowe na główne typy. W ciągu lat czterech zebrał także przeszło 4000 okazów kości kopalnych rozmaitego ptastwa. Najwięcej wydobył takowych z pokładów Saint-Gérard-de-Puy, w departamencie Allier.

Ostatecznie praca pana Milne-Edwards dostarcza badaniu ptaków kopalnych pewne podstawy, których znalezienie paleontologię uznali niemożliwym. Kommissya akademicka dając wielką nagrodę młodemu uczonemu, który tak godnie nosi sławne imię, oświadczyła życzenie, żeby dzieło jego całe poszło do druku.

Nagrodę fizyologii doświadczalnej otrzymał pan Bert za dzieło p. n. *Recherches sur la Greffe animale*.” Odcięte

części jednym, drugim zwierzętom zaszczerpić się dają, podobnie jak gałązki drzew na płonkach. Pan Bert doświadczenia powyższe czynił celem rozwiązania pewnych zagadek fizyologicznych.

Kommissya *nagród medycyny i chirurgii* rozdała trzy nagrody: 2500 franków dostał Włoch Vanzetti z Padwy, za sposób leczenia aneuryzmów. Nie jestto właściwie lekarstwo, ale prezerwatywa. Szczęśliwe rezultaty otrzymane przez pana Vanzetti każą się spodziewać, że na czas postrzeższy symptomata groźne, można będzie uniknąć nagłej śmierci.

Praca doktora Luys, pod tytułem: „*Recherches sur le système nerveux cérébro-spinal*“ otrzymała także 2500 franków nagrody.

Żaden memoryał nie otrzymał *nagrody Bréau'ta* przeznaczonój za wynalezienie lekarstwa na cholere. Nietylko nagrody nie dano, ale nawet zaszczytnój wzmianki nikt nie otrzymał. Toż samo dzieje się co rok: nagroda Bréau'ta zdaje się niezdobytą, a cholera nieuleczoną.

Elektryczny hamulec pana Achard dał powód do obszernego raportu. Pan Combes opisał szeroko i przyrząd i doświadczenia jego dokonane na drogach żelaznych we Francyi i Belgii. Próby od roku odbywane, zapewniają temu przyrządowi pierwsze miejsce pomiędzy sposobami do dziś dnia używanymi ku przecięciu w najkrótszym czasie szybkości pociągu, biegnącego po drodze żelaznej.

Ażeby dać pojęcie o potędze i chyżości działania hamulca elektrycznego, przytaczamy liczb parę. W Belgii zatrzymano kilka pociągów przez dwa prądy idące z furgonów postawionych na początku i końcu pociągu, po przebiegu 700 metrów, kiedy sposobami zwykłymi zaledwie można zatrzymać po tysiącu lub tysiąc dwustu metrach przebieżonych. Pomiedzy Paryżem a Strasburgiem, odbywano próby z pociągami o dziesięciu wagonach. Najwięcej rozpedzone zatrzymywano elektrycznym hamulcem w przebiegu 650 metrów, dwoma na raz działającymi hamulcami, w przebiegu metrów 500.

Pan Achard nagrodzony będzie w przyszłym roku.

Po odczytaniu raportu z rozdania nagród, sprawozdawca wymieniał przedmioty przez akademią nauk pro-

ponowane na rok 1867. Pomijamy ich wyliczenie, jako mogące mało kogo obchodzić.

Jerzy Guffrey wydał nie ogłoszone dotąd drukiem *Listy Diany de Poitiers*. Polecamy wszystkim bibliofilom ten tom wydany w Lyonie, ilustrowany portretami i facsimilami. Polecamy go także miłośnikom osobliwości historycznych. Wartość jego nie leży w suchej korespondencji Diany, ale w przedmowie i dopiskach; wyciągając żywo zajmujące wiadomości z niewdzięcznego gruntu, Guffrey zdziałał cud prawdziwy: kamienie zmienił w chleb a ze skały wodę wydobył.

Nie historycy i nie bibliofile, téż skwapliwie sięgają po tę książkę, bo Diana należy do rzędu dziejowych czarodziejek. Sama jej nazwa jako dźwięk zakłętego rogu, zwołuje orszak bogiń rozpierzchłych po malowidłach i płaskorzeźbach odrodzenia: widzisz dwie Diany Goujona, widzisz Benvenuta Nimfę leżącą wśród psów i sokołów, widzisz myśliwe bóstwa Primatisa i szkoły jego, naciągające łuki, wypuszczające strzały, kąpiące się w źródłach albo spacerujące w gronie pół-ziemianek. Wyobraźnia w jeden typ miesza wszystkie te smukłe postacie i nadaje wszystkim miano zwyciężkiej wdziękini, która je natchnęła.

Napróżno historycy woła że ta młoda bogini była starą kobietą, że Diane de Poitiers miała lat pięćdziesiąt w chwili jutrzeńki panowania swojego... nikt temu nie wierzy, nikt wierzyć nie chce. Nad dokładne daty każdy przekłada miłośną cyfrę, która królewskie *H* wiąże z dwoma półksiężycami: potomność patrzy na Dianę zakochanemi oczyma Henryka IIgo.

Rynald w ogrodach Armidy, Rogier zaklęty przez Alcinę, Merlin uwięziony przez Vivianę w ardeńskim lesie, słabe dają pojęcie o zaklęciu króla francuzkiego przez czarodziejkę starą jak czarownica. Całe życie kochał ją jedną. Nigdy żadna chmurka nie zaćmiła symbolicznego pół-księżyca Diany, który stał się gwiazdą panowania Henryka II. Listy jego do Diany tchną namiętą służebnością, jakiej nigdy żaden włoski Sigisbet dla damy serca swojego nie wyrobił chodząc za nią na smyczy.

Jestto stosunek może jedyny w dziejach ludzkości. Kochanka uznana, Diana Poitiers stała się pomiędzy Henrykiem a Katarzyną Medycejską: na tronie francuzkim utworzyła się królewska trójca. Herb urzędowego wiarołomstwa zdobił mury pałaców i łuki zwyciężkie monarszych wjazdów; całe odzienie króla było haftowane w półksiężyce. Nawet na koronacyi Katarzyny, pół-księżyc stanowił ozdobę uroczystości. Na turniejach kiedy Henryk IIgi padł pod dzidą Montgommer'ego, miał na sobie barwy kochanki: Diana miała wtedy lat *sześćdziesiąt*.

Czemu przypisać namiętność tak dziwną i pochłaniającą, że ją kronikarz Mikołaj Pasquier zaczarowanym sygnetem tłumaczy? Diana była piękna jak posąg marmurowy, ale nawet na marmurze lat sześćdziesiąt zostawi ślady.

Piękna jak łowczyni Olimpu, równie dumna jak ona, Diana miała też jej mężką ruchliwość, zamięłowanie rannego wstawania, polowania i lodowatej kąpeli, w której się latem i zimą zanurzała. Takie przyzwyczajenia długo ją konserwowały, tak długo, że kiedy miała lat siedmdziesiąt, wedle Brantóma, wyglądała na czterdzieści.

Ambassador wenecki Lorenzo Contarini, który 1552 roku patrzył na Dianę bystreimi oczyma obojętnego Włocha, skreślił jej wizerunek jak się zdaje, najpodobniejszy. Oto co pisze do swojego rządu:

„Osoba którą najwięcej kocha król, jest pani de Valentinois. Ma ona lat pięćdziesiąt dwa. Niegdyś małżonka Senechal'a normandzkiego, owdowiawszy młoda i piękna, była kochanką króla Franciszka i innych jeszcze, jak zapewniają; potem przyszła na ręce tego króla, kiedy jeszcze był następcą tronu. Bardzo ją kochał i kocha do dziś dnia, tak starą jak jest (*cosi vecchia come è*). Prawda że choć nie używa ani różu ani bielidla, wygląda wcale dobrze.”

Odciski autentyczne przedstawiają Dianę otyłą, matronę z wyniosłym czołem, wejrzeniem twardym, nosem rezolutnym; przycięte jej usta zdają się nie do pocałunków ale do tajemnicy stworzone. Żadnej miękkości, żadnej lubieżności, istna Junona rzymska w ciężkiej formie weneckiej szlachcianki.

Powabom zmysłowym nie można również przypisywać wpływu Diany. Henryk IIgi zupełnie innego jak ojciec był temperamentu, właściwie przyrównać go można do Bolesława Wstydliwego. Diana zimna była jak jej pogańska patronka. Jednego kaprysu nie znajdzie w jej życiu czynném, dążącym prosto do celu: miłości jej były narzędziami panowania, nie rozkoszy.

Z tego wszystkiego wniesć można, że urok Diany był romansowo-rycerski. Olśniewała ona Henryka turniejowym szalem, tumańla sentymentalnie, podszeptowała mu jakieś rycerskie czyny i przedsięwzięcia; w miłości karmiła go marzeniami, stawiała się za hiszpańską *damę myśli*. Wieczna żałoba którą nosiła po nieboszczyku mężu, dowodziła niby głębokości uczuć: przełamać skrupuły Diany zdawało się tém samém, co uwieść królowę Artemizę.

Krótko mówiąc, wpływ Diany na Henryka był to poprostu wpływ silnego na słabego ducha, wpływ kobiety rozumnej na bałwana.

Wydłużona, drzemiąca i wychudła twarz Henryka była maską fantastycznej głowy: miewał on donkiszockie widzenia, był niemniej egzaltowany jak bohater Cervantesa. Dianę wziął sobie za Dulcyneę i nieustannie ją idealizował. Wszystkie Diany podobne do żywej, które oczom króla jawiły się jako wizye Olimpu w każdej ścieszcze ogrodu, w każdej sali pałacowej, ubóstwiały mu jego ukochaną.

Czarodziejka znała wpływ takich wizyj na słabą głowę i nie szczędziła ich monarsze, przeciwnie: zamek swój d'Anet, kazała zbudować jakby wedle planu wybujałej fantazyi Ariosta. Było to arcydzieło w swoim rodzaju, ta wykwintna willa, zaludniona posągami, rozweselona szmerem wód, pełna stawów rybnych, ujadających psiarni i klatek gdzie niecierpliwiły się chciwe boju sokoły. Po za ogrodami pełnymi woni i gwaru, ciągnęły się pełne zwierzyny lasy i łańcuch wzgórz modrzał na ostatnim kresie nieboskłonu.

W tym raju, pod wpływem czarodziejki, król pędził dni rozkoszne... tak rozkoszne, że nic mu ich zastąpić nie mogło: podczas wojen włoskich i niemieckich *pragnął* wodotrysków Anetu jak jelen Dawidów, źródła...

W całej téj historii szukasz napróżno królowej; widać ją zaledwo zaćmioną pół-księżcem: jestto ukoronowany kopciuszek.

Długo bezpłodna, w niełasce u króla, którego odstęczyły jęj wypukłe oczy i chorowita cera, Katarzyna Medycejska upokorzyła się przed rywalką: nie mogąc jęj obalić, rzuciła się w jęj objęcia. Diana protegowała ją i pocieszała; od czasu do czasu przypominała królowi jego obowiązki. Drugi raz spełnił się werset biblijny: jako Rachel poprzestająca na roli duchowej otworzyła namiot Jakóba słudze Bilhe, a potém ich dzieci piastowała, tak Diana została ochmistrzynią potomstwa Henryka. Pilnowała królowej w chorobie, wybierała mamki i zajmowała się szczególnie zdrowiem nowonarodzonych. Listy wydane przez Guffrey'a pełne są śladów niańczenia: jedne zawierają przepisy urządzenia dzieciennych pokoi; drugie rozkaz wyjazdu do innej rezydencji z powodu niezdrowego powietrza; wszystkie są *użytkowe*: godzą zwaśnione piastunki, ostrzegają doktorów, przepisują lekarstwa i t. p.

To zagarnięcie wydziału macierzyństwa dopełniło potęgę Diany. Dzieci tylko mogły oderwać od niej króla i odprowadzić matkę; Diana przysądziła je sobie podejmując wszelkie około nich troski. Matka rodzicielka musiała zniknąć obok téj drugiej matki czynnej, zabiegliwej, piastującej, strzegącej w noc i we dnie królewskiej dynastyi.

To czarodziejska strona Diany Poitiers.

Teraz odrzućmy tę olimpijską wystawę, zdmuchnijmy pół-księżyc, rozwieźmy fantasmagorye mitologiczne zmieniające ją w bóstwo, a obaczmy kobietę, nie stanu, ale interesu, wyzyskującą królewską łaskę. Łowczyńi umie zastawiać sidła i samotrzaski: jedyną jęj namiętnością chciwość, chciwość niezmierna, której cała Francya pokrajana w kawałki i przez czternaście lat pożerana, nie nasyciła. Niczem są łupy Pompadur, niczem grabież du Barry przy grabieży Diany Poitiers. Pożądała ona wszystkiego i wszystko pochłaniała; konfiskaty, procesa, sprzedażę urzędów, wszystko to szło na jęj korzyść: posiadała Anet, Chenonceaux, księstwo Valentinoix, trzy prowincye. Kazała sobie przysądzić „wszystkie wakujące ziemie królestwa” była to *czwarta część Francyi!* W jednym z jęj

listów widzimy, jak z kuzynem swym panem Charlus, handluje jeńcami hiszpańskimi, których na morzu wziął do niewoli baron de la Garde, a jój król podarował. Chodzi o to, żeby tych ludzi sprzedać jak najdrożej.

Tracenie stanowiło część przychodów Diany. Wtedy, jak wiadomo, stosy nie gasły: Diana odzierała a potem zabijała protestantów. Tragiczną scenę z tego prześladowania przechowywały dzieje: wyrobnik kalwin, miał być tracony za kacerstwo; Diana kazała go przyprowadzić do swego pokoju i chciała żeby w obec króla zaparł się swojej wiary. Kalwin nie przełknięty, głośno bronił swojej religii. Diana zaczęła mu przeczytać... Wtedy skazany wybuchnął jak Eliasza gromiący Jezabela: „Pani—zawołał—przestań na tém żeś Francją zapowietrzyła i nie mieszaj kału swojego do rzeczy tak świętych jak prawda Boża!”

Król rozwścieklony, poszedł patrzeć jak tego człowieka żywcem palono... Ale się cofnął na wskroś przesztyty oczyma, które w nim utkwil ów męczennik w płomieniach...

Tak więc, Diana jak jój patronka, ma stronę piekielną: jasności otaczające ją na fresku w Fontainebleau, są luną stosów.

Listy zebrane przez pana Guffrey obnażają tę twardą i nieubłaganą duszę: pisała jakby dzisiejszy giełdzysta: krótko, węzłowato, tylko o interesie. Żadne uczucie nie ukwieca tych suchych odezów; stary jaki palestrant, mógłby wszystkie podpisać. Gdzie niegdzie w końcu zapewnienia życzliwości i kłamana pokora, podobne do fałszywego uśmiechu.

Majestatyczna postawa i ton wyniosły, maskowały wybornie oszukaństwa téj kobiety, duma jój nie zmiękła nigdy: żyła i umarła na piedestale. Po śmierci króla, po królewsku się wycofała. Henryk jeszcze nie skończył, kiedy Katarzyna wezwała Dianę do oddania klejnotów koronnych, które w jój szkatułach spoczywały. Na taki pozew, Diana zmarszczywszy brwi zapytała pazia: „Jakto? więc król już umarł?” „Nie, odparł zapytany, ale wnet ducha wyzionie.” „Dopóki on oddycha, rzekła, niech moje wrogi wiedzą że ich się nie boję i że im posłuszną nie będę dopóki on żyw. Skoro on umrze, nie chcę go przeżyć; wtedy wszystkie pioluny którymi mnie zechcą poić wydadzą mi

się słodyczą po mojej stracie. A więc, czy mój król żyw czy umarły, nie lękam się wrogów moich."

Po śmierci króla względem wszystkich zachowała tenże sam ton wyniosły. Nic nie oddała, prócz dóbr Chenonceaux. Katarzyna na tém poprzestała, a Diana odeszła od tronu powoli, spokojnie, obarczona zdartym z Francyi łupem.

Jeszcze potem żyła lat siedm w pałacu Anet, pogodzona z nowym rządem, zawsze piękna. Testament swój napisała jak najbieglejszy prawnik. Obrząd pogrzebu, msze, modły, jałmużny, żałoby, gromnice, szkaplerze, sama wyznaczyła dokładnie: „Chcę żeby mi dobrze służyło w kościele” napisała w końcu wielkimi literami. Umierająca Diana, interesa swój duszy załatwia zupełnie tak, jak za życia sprawy pieniądze.

Dziś już każdy wie o tém. Mimo to, sztuka odniesie zwycięstwo nad historią. Marmury, texta, obrazy, rzeczywistość zasłonią. Diana zostanie dla potomności opiekunką boginią odrodzenia. Wiecznie ludzie ją widzieć będą w olimpijskiej nagości, wspartą na srebrnym łuku w progu zamku Turenii; pomiędzy Franciszkiem Iszym który nań patrzy jak Satyr, a Henrykiem II-gim, jako Akteon błądy spoglądającym na ubóstwioną... w około nich posągi, a u nóg Diany królewski jeleni leży... kunstmistrz uwiecznił idealną grupę i apoteoza ułudna, zaświeciła niby prawda wiekuista.

W Odeonie przedstawiono pięcio aktową komedię pana Augier „*La Contagion*.” Każda nowa sztuka Emila Augier zasługuje na uwagę, gdyż on jest teraz głową francuzkiego teatru. Odważny, często zuchwały, nie cofa się przed towarzyskimi względami, które innym całej prawdy wypowiedzieć nie dają. Od lat kilku pracując bez przerwy, pan Augier tworzy dzieło, które tém będzie dla sceny francuzkiej, czem *Komedia Ludzka* Balzaka jest dla roman-su obyczajowego. W *Giboyer i les Effrontés*, postawił pod pręgierzem *Świętoszków*, jakich urobiły obyczaje XIX wieku; w *Maitre Guérin* piętnuje obłudę prawa; w *Zarazie* podaje na wzgardę giełdowo salonowych oszustów, którzy

dzisiaj rej wodzą w społeczności francuskiej, a właściwe ich miejsce na galerach.

Ostatni utwór pana Augier nie jest arcydziełem scenicznym, ale szlachetnym oburzeniem, które widocznie wypłynęło z głębi duszy. Kilka scen nie zwykłej miary, okupuje wady całości, w której niekonsekwencji pełno.

Na wstępie zaraz, uderza dysproporcya rzeczy z nazwą: sztuka wywiesza czarną chorągiew *zarazy*, a pokazuje tylko oderwane przypadłości odry i szkarlatyny. Baron d'Estrigaud uosabia plagę społeczną, ale człowiek ten, wcielenie dżumy moralnej, nie jest zaraźliwym.

Niezgoda z nagłówkiem nie przeszkadza że to figura ciekawa, z natury odmalowana. Paryżki lew tegoczesny, nie grzeszy lekkością jak francuskie lowelasy zeszłego wieku; przeciwnie, jest bardzo stały i niezmiennie pozytywny: całą niemoralność swoją, stokroć szkodliwszą od Faublasowskiej, wkłada w spekulacje pieniężne: obejściem pańskim maskuje najbrudniejsze konszachty. Bez widomego majątku żyje po królewsku. Administrator kilku wielkich kompanii z synekur ciągnie niezbędne dochody; gieda na której gra, uchylając fortune zasłony, dostarcza reszty. W tych labiryntach nie sam działa. Panna Nawarette aktorka podrzędna, jawna metresa a tajemna wspólnica barona, przeniewierzająca mu się z jego wiedzą dla potrzeb kasy, przepowiada mu kursa bursowe. Niejaki Cantenac, powiernik wielkich banków, uwiadamia o spadku lub podwyżce Nawarette, ona donosi baronowi, a ten działa na pewno. Jestto drugi gatunek małżeństwa we troje, paryżkiego zepsucia.

W pierwszym akcie poznajemy bogatego a uczciwego mieszczanina Tenancier, jego syna Lucyana kawalera najświeższej mody i córkę margrabinę Galeotti, młodą wdowę oddaną zabawie.

Pomiędzy tym ojcem sześćdziesięcioletnim a temi dziećmi, sto lat różnicy. W tém uderzająca cecha czasu. Nieco innego jak wewnętrzny antagonizm różni dzisiaj francuskie rodziny. Częste zmiany polityczne, podwyżka potrzeb, spadek pieniędzy, *krescendo* zbytku, pojęcia pozytywne i rozkiełznane razem, pół amerykańskie a pół regienckie obyczaje, wszystko to w ciągu lat dwudziestu pięciu zrobiło

wiekową różnicę pomiędzy ojcem i synem, ludźmi z 1840 i 1866 roku. Ich pojęcia, gusta, dążenia idą w kierunku odwrotnym: na każdym punkcie drogi rozstajne. Język się nawet zmienił: też same wyrazy, nie też same rzeczy znaczą. Dwa ostatnie pokolenia wcale nie rozumieją się z sobą, tak jak niegdyś nie rozumiała się szlachecka emigracja z młodą Francją.

Tę sprzeczność w domu, Augier wskazuje, ale nie dość różnicę odznaczył. Lucian i Margrabina mogli być okazami moralnej epidemii, a nie są; igrają z zarazą bezkarnie: widać że mieli szczepioną ospę.

Lucian naiwnie wielbi barona d'Estrigaud; ojca swojego kocha, ale go lekce waży; siostrę ubóstwia. Ten młodzieniaszek zaledwie owiany tchem złego, nie jest na swoim miejscu w sztuce noszącej straszliwe miano zarazy: choroba jego pomarańczowym kwiatem da się uleczyć.

Margrabina także słabo narysowana. Ma ona uosabiać te wielkie damy paryzkie, co naśladują obejście dam kameliowych, od nich uczą się mówić i ubierać. Rzeczywiście ma tylko strój swój roli. Z natury uczciwa, cnotliwa bez zasługi, rozsądna flegmatyczka, źle przedstawia wyuzdaną i zuchwałą część wielkiego świata.

Mamy wam jeszcze do przedstawienia Andrzeja Lagard i jego siostrę Alinę, którzy do domu Tenancierów przybywają z prowincyi. Alina jest niewinnym kwiateczkiem polnym; Andrzej inżynierem. Chłopiec co się zowie prawy: uczony, pracowity, naiwny, prawdziwy purytanin pracy.

Andrzej przywozi do Paryża projekt kanału, który wykopany od Kadyxu do ujścia Guadiaro, wyswobodziłby morze Śródziemne z pod jarzma Gibraltaru. Plany i koncessye są, ale wpływ angielski zamknął banki hiszpańskie: Andrzej chce więc od Francyi otrzymać kapitały potrzebne do urzeczywistnienia swojego pomysłu. Lucian przyrzeka mu protekcyę wszechmocnego barona d'Estrigaud.

W drugim akcie rozwinięcie nie postępuje, ale są sceny charakterystyczne. Margrabina do której baron się zaleca, przywołuje do siebie jego metresę pod pozorem nauczania się od niej roli, którą ma odegrać w salonie.

Przy nauce krotchwili, rzeczywiste role się przemieniają: wielka dama pali cygara i gada dwuznaczniki; loreta zachowuje przyzwoite wzięcie wielkiej damy. Rozpuستا w obec cnoty stoi ciągle pod bronią. Scena przedziwna.

Przybycie barona przerywa lekcją: nie zazdrośna Navareta wychodzi, a Estrigaud ośmielony jej obecnością w tym domu, proponuje margrabinie żeby przyszła obejrzeć jego galeryę obrazów.

Trzeci akt u barona. Oczekując margrabiny, dowodzi on jej bratu Lucyanowi, że dla wdowy potajemny związek daleko lepszy niż drugie zamężcie. Lucyan, który pragnie mieć barona szwagrem, oburza się na to jego twierdzenie. Protestacya, na dobrą sprawę, powinnyaby być poparta policzkiem; bo obelga zbyt gruba. Rozstają się jednak w zgodzie.

Margrabina przybywa; ale baron ostudzony wykryciem nie wygodnego brata, przyjmuje ją chłodno. Dowcipkują, żartują... wtém dama rzuciwszy okiem na wykaz stanu giełdy, mówi: „Dwa franki podwyżki.” Barona te słowa rażą jak piorun... Navareta go zdradziła! złe zwiastomiony traci 800,000: jest zrujnowany!.. Bankrut jedném wejrzeniem mierzy przepaść i dostrzega gałązkę zbawienia: uczepia się margrabiny. Pada na kolana i oświadcza jej się strzeliście...

Kobieta przełknięta nie pojmuje tego napadu szalonej miłości... Na szczęście, wchodzi Navareta i uwalnia ją z przykrój pozycyi.

Po odejściu margrabiny, aktorka z szachrajem odgrywają mistrzowską scenę. Kurtyzanka chce być baronową; zrujnowała umyślnie barona żeby go zmusić do małżeństwa. Wpadł w sidła, już się nie wyrwie. Przyszła małżonka ofiaruje mu najpierw zapłacić 800,000 różnicy. Baron odmawia: żeby dostać tę sumę. Navareta musiała by sprzedać swoje nieruchomości, coby skandal zrobiło w pięknym świecie. Wedle jego kodexu można zrujnować żonę, ale metresy nie! Kurtyzanka odparta, nagle odsłania oczom barona swoje grunta na Polach Elizejskich, wartości dwóch milionów: odda mu je, jeżeli się z nią ożeni. Razi barona plugawa fortuna, ale go uspokaja, że ją swém imieniem zapłaci. Gra wyborna, walka skupiona. Cały

ten bój pieniędzy z niesławą, pomiędzy wszeteczną i oszustem, odbywa się z lodowatą powagą: rozumiej się półsłowami.

Zanim skoczy w błoto, Estrigaud chwytą się ostatniego wybiegu. Za zniweczenie planu Andrzeja, Anglia zapłaci trzy miliony: proponuje inżynierowi półtora za ustępstwo. Chodzi tylko o to, czy i Andrzej jest także na sprzedaż? Estrigaud ma nadzieję. Kurtyzanka życzy mu pomyślności i woła:

„Jakie szczęście! jeżeli wybrniesz nie żeniąc się ze mną!”

Oddawna nie widziany Andrzej, pokazuje się w 4-ym akcie na wieczorze u Navarety, wśród uczy półświatowej już znacznie nadpsuty i smakujący w rozpuszcie. Otumaniiony, upojony; ma sprzedać swój plan baronowi, kiedy niespodziewany wypadek uchronia go od zarazy.

Kochanka Lucyana znalazła w jego kieszeni list z podpisem „Alina.” List ten wypadły w pierwszym akcie z papierów starego Tenanciera, syn podniósł i schował. Usłyszawszy imię *Aliny*, Andrzej o siostrę się lęka, wyrzyna list z rąk dziewczyny, czyta, i poznaje pismo nieboszki matki. Miłośna jej odezwa bolesne podejrzenie budzi w synu... zraniony w serce niesławą domową, drze układ podły który miał podpisać i przeklina otaczających go rozpustników.

Piękne jest to ocknienie omdlałej duszy. Augier mistrzowsko oddaje szlachetne uczucia. Monolog Andrzeja ogromne czyni wrażenie, ale ochłoniwszy widz pyta siebie czy ten piorun zabija tu kogo? Zaledwie Estrigaud i Navareta rozumieją wysoki ton rozżalonego syna; reszta spodłonej hołoty słucha jakby gadał po sanskrycku. Trzeba by babilońskiej ramy tej kłątwe. Rzucona loretem, wygląda jak biblijne *mane tekel fares* na ścianie gabinetu angielskiej kawiarni.

Navareta zwycięża: będzie baronową. Tylko jej przyszły musi jeszcze odegrać małą krotoczwilę. Cante-nac, ów co to kursa giełdy przepowiadał, zawadza w tej sprawie. Estrigaud wyzywa go. Wesele odbędzie się po pogrzebie.

List co z rąk ojca wpadł w kieszeń syna, a który grozi zerwaniem małżeństwa Lucyana z Aliną, jest przedmiotem ładnej sceny piątego aktu. Andrzej żąda tłumaczenia

od Tenanciera. Pokazuje się że matka inżyniera była płochą, ale nie występłą. Późniejsze listy dowodzą synowi że się zatrzymała nad brzegiem przepaści.

Rozwiązanie nie leży atoli w tém niewinnieniu, ale w relacyi Lucyana opowiadającego ze łzami w oczach pojedynek barona, któremu sekundował. Cantenac zabity, a Estrigaud śmiertelnie ranny za kilka godzin skona. Przed śmiercią chciał miłość Nawarety nagrodzić i poślubił ją *in extremis*.

Stary Tenancier intrygę téj komedyi urwanéj odgaduje: Cantenac zabity, ale Estrigaud ma się doskonale: ułożone z doktorem konanie jest tylko dekoracyą mającą osłonić brudne małżeństwo z Navaretą i jej trzema milionami.

Taka jest finalna sprawka tego przemysłowego korsarza, którego nam przedstawiono za najrzeczniejszego z filutów. Kończy małżeństwem skojarzoném grobowym figle, który się jutro wykryje. Wyśmiany, wypchnięty z saloń, Estrigaud na uboczu ciągnąć będzie złoty łańcuch, który go przykuł do wszeteczności.

Zaprawdę, szatan dzisiejszy nie tęgi: nie ma ani poczucia swojego stanowiska, ani tradycyjnego charakteru. Jeden stracony milion kruszy jego nawę, osadza na mielnie i oddaje na pastwę sprawczyni rozbicia.

Jednakowoż taką jaką jest, złożona z nieokreślonych położeń, zaledwie naszkicowanych charakterów i poprutej intrygi, komedya pana Augier przedstawia się jeszcze jako dzieło wyższego rzędu. Mistrzowska scena bursisty z aktorką, sama jedna nadaje téj sztuce prawo obywatelstwa na paryżkiéj scenie.

Akademia i teatr zajęły tyle miejsca, że go już nie zostało na zdanie sprawy z Wiktora Hugo ostatniej powieści „*Les Travailleurs de la Mer*.” Na szczęście Hugo będąc sam jeden z 40-tu rzeczywiście *nieśmiertelnym*, może czekać... czekać musi, bo takie dzieła jak jego, niby wielkie symfonie Bethowena wymagają wsluchania. Twór głębokiego namysłu, tak pod względem artyzmu jak moralizmu, nie może być sądzony doraźnie, jak owoc zwykłej głowy. Obiecując sobie pomówić obszernie o *Pracownikach morza*, dzisiaj wypowiemy tylko nasze pierwsze wrażenie.

A najprzód: znajdujemy żywszą, silniejszą niż kiedy potężną duszę, która się w samotności hartuje. Gdzie inni niszczą: Hugo się krzepi.

Pisarski proceder francuzkiego wieszczą, znany. Pisać zaczyna wtedy dopiero, skoro idee dzieła zmateryalizował mu, że tak powiem, jakiś ogromny przedmiot. Ogrom go wabi... lubi igrać z tém co olbrzymie. Znalezione przedmiot: atakuje go jak odważny generał obleżone miasto: ze wszech stron na raz. Otacza je, ściska złotym pierścieniem swęj myśli, skrzydłami geniusza bije, oświeca zorzę promiennej wyobraźni, zasypuje poetycznych kwiatów lawiną... i zdobywa.

W *Notre-Dame-de-Paris* przedmiotem walki jest katedra; w *Nędzarzach* społeczność; w *Travailleurs de la Mer* ocean.

Są to trzy obleżenia, trzy twierdze wzięte szturmem. Oto wiązanie tych trzech wielkich powieści wyłożone przez autora w przedmowie:

„Religia, społeczność, natura, oto trzy walki człowieka. Te trzy walki są zarazem jego trzema potrzebami: trzeba żeby wierzył, ztąd świątynia; trzeba żeby tworzył, ztąd miasto; trzeba żeby żył, ztąd pług i morze.

„Ale te trzy solucye zawierają trzy wojny. Tajemnicza trudność życia z nich wynika. Człowiek walczy z przeszkodą w kształcie zabobonu, w kształcie przesądu i w kształcie żywiołu. Potrójne *Anankè* ciąży na nas: *Anankè* dogmatów, *Anankè* praw, *Anankè* rzeczy! W *Notre-dame-de-Paris* autor oskarżył pierwsze, w *Nędzarzach* uwiadomił drugie, w téj książce wskazuje trzecie.

„Do tych trzech fatalności otaczających człowieka, miesza się fatalność wewnętrzna, *Anankè* najwyższe, serce ludzkie.”

To najwyższe *Anankè*, burzę namiętności ludzkiej, poeta cudnie splótł z burzą oceanu; *Pracownicy morza* są rzeczywiście galerją morskich obrazów: portrety majtków szorstkie, oryginalne, są niby punktuacją tego dzieła zrobionego z piany, chmur i błyskawic. Nie czytać ciągle jednym tchem, jak się to zwykle czyni, ale powoli, w pewném tylko usposobieniu należy *przepatrywać* te karty, wtedy doznamy wrażenia, jakbyśmy wichrem szarpani i olśniewani błyskawicą morskiej nawałnicy, z wysokości skały

patrzyli na tonące okręta. Ten ostatni romans Hugona jest cały malowany nie pisany: przez oczy wchodzi do serca, nie przez uszy.

Osnowa w kilku słowach da się opowiedzieć. Dziecko namiętności, sierota bez rodziny, zdala od obojętnych ludzi nad morzem się chowa i wyrasta na odważnego żeglarsza. Burze morskie, walki z oceanem, długo wystarczały rybakowi, ale w końcu poczuł nawałnicę we własnem sercu. Pokochał kobietę. Dla pozyskania jęj wzajemności spotęgował wielką swą duszę na korzyść bliźnich. Ocaliłszy załogę z rozbicia, sądził że już miarę poświęceń dopełnił i może sięgnąć po szczęście... Idzie ku swojej ukochanęj i zastaje ją... z innym. Nie domyślając się uczuć jego, kobieta prosi rybaka żeby jęj dopomógł połączyć się z tym którego kocha. Rybak ułatwia im ślub i ucieczkę, po czém kładzie się na piasku i oczekuje aż morze wróci i przyniesie mu wieczne ukojenie; wściekłość oceanu bywa mnięj grozną, niż obojętność kobiety.

Styl ma blask marmuru i twardość bronzu; Hugo gmach myśli swojej wznosi, jak Rzymianie budowali swoje areny: tajemnica ich cementu nie znana. Pokrusz w kawałki dzieło, a każdy okruch będzie miał jeszcze wartość.

Na wstępie *Pracowników morza*, czytamy następującą dedykacyą:

„Przekazuję tę księgę gościnnęj skale, temu zakątkowi normandzkieję ziemi, gdzie żyje szlachetny mały narodek morski, przekazuje ją wyspie Guernesey, surowej i łagodnej, obecnie schronieniu mojemu, mojemu grobowi prawdopodobnie.” „Haute ville House w marcu 1866.”

— Professor estetyki w szkole sztuk pięknych, pan Taine, wydał pierwszy tom *Podróży do Włoch*. Sprawozdanie z tēj książki damy w przyszłej kronice.

— Professor Mézières wydał drugą powiększoną edycyą studyów Szekspira.

— Z księgarni Didot'a wyjdzie wkrótce publikacya obchodząca uczonych. Będzie to zbiór rękopisów i pomnikowych odbić przywiezionych z klasztorów góry Athos przez uczonego Rossyanina p. Sewastianow. Zdobycze jego bardzo bogate: zdjął fotografie z tamiecznych monumentów, malatur i mozaik ważniejszych. Odfotografował także ma-

nuskrypt geografa Ptolomeusza z XII wieku, najdawniejsze w Europie znane są z XI. Z przywiezionych kliszów Lemercier odtworzy fac-simile Ptolomeusza góry Athos, sposobem foto-litograficznym, którego sekret sam jeden posiada.

Publikacya utworzy tom in 4-to i kosztować będzie dwa luidory. Tym sposobem za tę cenę każdy może nabyć drogocenny manuskrypt, za który mnichy żądali 100,000 franków. Dzieło będzie figurowało na wystawie 1867 roku.

— Przetłumaczono na francuzkie *Rozprawę o malarstwie* Cenniniego ucznia Giotto; znalezioną w jakimś włoskim księgozbiorniku. Księga opatrzona rysunkami i pełna rad praktycznych, ważna jest dla malarzy. Cennini naucza szczegółowo rysunku, tarcia farb, malowania na murze i papierze, złocenia, lakierowania i t. p. Jestto zupełny podręcznik sztuki, dawniejszy niż malarstwo olejne. Nawet pod względem moralnym ta książka przede wszystkim techniczna, nie jest bez wartości. W rozdziale 96 Cennini pisze jak następuje: „Po większej części malujący na murze złocą miedzią, bo tańsza. Ja radzę tak: złoc zawsze czystym złotem, a maluj dobrymi farbami, mianowicie postać Najświętszej Panny. A jeżeli malarzu odpowiesz mi: ubogi nie może łożyć, to ja ci na to: jeżeli będziesz pracował sumiennie, jeżeli użyjesz tyle czasu ile trzeba, to nabędziesz takiej sławy, że ci bogaty na pomoc przyjdzie i zapłaci za ubogiego; komu za figurę dadzą dukata, to tobie dwa, i będziesz za dobrą intencją wynagrodzony. A gdybyś też i nie był zapłacony dukatami, to Bóg i Najświętsza Panna oddadzą ci to w radości duszy i zdrowiu ciała.”

W ten sposób arcy-naiwny, pisana cała ta książka. Zbyteczna mówić, że w przekładzie na język francuzki wiele traci. Kto zna język włoski, niech ją lepiej czyta w tym ślicznym narzeczu tokańskim, które wedle lorda Bajrona brzmi jako gwarzenie dziecięcia, albo pocałunki na białym atłasie.

